Cena pojedyń. numeru 40 groszy. Należność pocztowa uiszczona ryczałtem

Nr. 15 (71) Warszawa, 6 kwietnia 1930 roku. Rok II

PLACÓWKA

POLITYCZNA — SPOŁECZNA — GOSPODARCZA — KULTURALNA

Pismo tygodniowe dla wszystkich

Czytajcie w dzisiejszej PLACÓWCE

Na porządku dziennym
Va banque
Silny rząd
V. Zborowszczyzna
IRENA PANNENKOWA
Na marginesie ostatniego przesilenia
LUDWIK KULCZYCKI
Z rozmyślań dnia dzisiejszego
KAZIMIERZ WIŚNIEWSKI
Kulisy polityki
Smutne doświadczenia
Bezstronne świadectwo.
Trzynasty dzień...
Posłowie i... „posłańcy"...
Bluff konstytucyjny
Dywersja p. Szymańskiego
Dokoła Janek
Nie honorowo, ale zdrowo...
„Wpierw spokojnie — później wybory"
„Sanacja" w Związku Inwalidów
Hajże na inwalidów!
Niepoprawni fałszerze wyborów...
„Folwark dochodowy" sanatorów
Galerja „działaczy"
„Wódz duchowy"
W perspektywie lat...
Hocki — klocki
Tematy do praw seminaryjnych w Szkole Nauk Politycznych.

NA PORZĄDKU DZIENNYM

VA BANQUE

Mamy tedy nowy „rząd", jeżeli o „nowości" można mówić przy systemie, w którym od czterech lat pełnia władzy i odpowiedzialności nieprzerwanie w jednem pozostaje ręku. Zmieniają się tylko pionki na szachownicy, na kórej wódz prowadzi swą ulubioną „grę wojenną", luzują poszczególne „ekipy" — istota systemu pozostaje niezmieniona.

Niezmienione też pozostają wbrew wszelkim pozorom cele i taktyka tej gry. Początkowo zdawać się mogło, że chodzi istotnie o zmianę ustroju państwa w duchu jakiejś, bliżej nieokreślonej koncepcji sanacyjnej. Złudzenie to należy dziś do bezpowrotnej przeszłości. Okazuje się, na podstawie dotychczasowych doświadczeń, że w istocie tego systemu, który Polską rządzi od czterech lat, leży zasadnicza niechęć do uregulowanych stosunków prawnych, nawet odpowiadających chwilowym, w tych kołach panującym nastrojom czy poglądom. Tkwi dalej w jego zasadniczej „koncepcji" coś znacznie gorszego: głęboki wstręt do jasnych wyraźnych form i sytuacyj, które ujarzmićby mogły zbyt indywidualną wolę jednostki, kładłyby raz na zawsze kres wszelkiego rodzaju niedomówieniom i wątpliwościom...

W tych warunkach cel systemu stał się bardziej prostszy i konkretniejszy. Chodzi o zachowanie władzy w swem ręku, o utrzymanie się za wszelką cenę na powierzchni. Do tego celu dostosowana jest całkowicie taktyka. Złudzeniem również jest przypuszczenie, że nastawiona ona jest istotnie na ton bojowy, na te „rozstrzygnięcie", których gorączkowem wyobrażeniem wciąż żyją pewni manjacy „dokończenia dzieła rewolucji majowej". Wykończać „rewolucję" można było w maju 1926 r., ale nie po 4 latach takich „sukcesów" i niespodzianek jakie ona w tym czasie krajowi zgotowała.

I w tym wypadku tedy chodzi o rzeczy bardziej realne. Jest to gra na zmęczenie przeciwnika, na bierność mas, na nowy uśmiech fortuny, — na wszystko jednem słowem, tylko nie na ostateczną „rozgrywkę". Dla celów tej gry, w jednym roku mówi się o Konstytucji, a w drugim o „konieczności prawie" nowych wyborów. Jednem słowem — gra „va banque"... A nuż się uda?

W grze „va banque" nie brak olśniewających czasem uśmiechów losu. Ale to są rzadkie, wyjątkowo rzadkie wypadki. Nieomal regułą natomiast jest... katastrofa...

Silny rząd

V. Zborowszczyzna.

Niełatwo jest nam dziś pojąć i wytłumaczyć, dlaczego i jak to się stać mogło, że sprawa Zborowskich tak silnie wstrząsnęła współczesną opinją polską, tak bardzo zaogniła umysły i rozjątrzyła przeciwieństwa.

Zaczęło się od ścięcia Samuela.

Wrażenie, jakie ta kara wywołała, jest tembardziej zastanawiające, że nie była ona wcale wtedy wypadkiem tak bardzo odosobnionym i niezwykłym. Opisane wyżej stronnictwo szlacheckie dążyło już wtedy do zapewnienia sobie zupełnej bezkarności, ale celu tego bynajmniej jeszcze nie osiągnęło. W Wilnie w 1580 r., z wyroku króla, za przyzwoleniem litewskich senatorów, ścięty został magnat litewski, Hrehory Ościk, za to, że porozumiewał się z Iwanem Groźnym i bił fałszywą monetę. Nawiasem mówiąc, Zborowskim udowodniono potem, że pozostawali w podejrzanym kontakcie z owym właśnie Ościkiem... Dalej z wyroku sądu sejmowego ścięto w r. 1582 kasztelana wiskiego, Iłowskiego. Djarjusze sejmów 1581 i 1585 r. wymieniają nazwiska kilku szlachciców, skazanych na infamję lub śmierć. Oburzonej z powodu ścięcia Samuela szlachcie krakowskiej Zamoyski przypomniał, że rodzony ojciec Samuela zabił banitę, Dymitra Sanguszkę, choć nie miał nad nim jurysdykcji — i zabił go na obcem terytorjum państwowem, w Czechach, a nikt mu z tego powodu zarzutów nie stawiał, gdyż banita wyjęty jest z pod prawa.

Czemże więc tłumaczyło się takie niezwykłe poruszenie opinji z powodu sprawy Zborowskich?

Rzecz tembardziej ciekawa, że Samuel po krwawej burdzie, uczynionej na zamku za Walezego, i zabójstwie Wapowskiego, został przez opinję potępiony. Stronniczo łagodny wyrok Henryka, który skazał zabójcę tylko na wygnanie, wywołał wtedy oburzenie. Ale opinja polska jest, jak wiadomo, chwiejna i niepamiętliwa, i w złem i w dobrem. Minęło zaledwie lat parę, i potępiony przedtem ogólnie zbrodniarz zdobył sobie niezwykłą popularność, stał się ulubieńcem szlachty.

Otóż *klucz tajemnicy* tkwić się zdaje *w tej właśnie* popularności, oraz w mistrzowskiej *demagogji*, jaką rozwinęli Zborowscy, ażeby z popularności tej ukuć dla siebie polityczny kapitał, żeby swoją prywatną sprawę związać jaknajściślej z politycznym interesem stronnictwa, które dążyło do wyniesienia się ponad prawo i zdobycia wszechwładzy w państwie.

Trzeba przyznać, że Samuel był postacią niepospolitą, pełną niezwykłej awanturniczej fantazji i swoistego rycerskiego blasku. Odważny do szaleństwa, pyszny i butny do niedorzeczności, gwałtowny do dzikości i zbrodni, nie był jednak pozbawiony instynktów szlachetniejszych. Brał udział w wyprawie moskiewskiej, wsławił się walecznością pod Wielkiemi Łukami. Musiał mieć urok osobisty, zdolność sugestjonowania ludzi, skoro udawszy się na Sicz, potrafił sobie zdobyć posłuch i uznanie pół-dzikich kozackich watażków, wśród których nie brakło przecież junaków, zatraceńców, awanturników różnego kalibru — i narzucił się im na hetmana. Nie dziw, że romantyczne jego dzieje i tragiczna śmierć pobudziły fantazję Słowackiego. Ale wzniosła mistyka rozgrywającego się w przestworzach niebieskich dramatu poety bardzo niewiele miała wspólnego z realnem podłożem historycznego dramatu na ziemi...

Niesamowita pycha Samuela, w połączeniu z niespokojnem bądź co bądź sumieniem i ze stanem faktycznej bezkarności, popychała go do coraz to nowych zbrodni. Sam się przyznał przed śmiercią, że własnoręcznie zabił siedmiu ludzi. Brak gruntu prawnego pod stopami i świadomość, że ma potężnych wrogów, wyrobiły w nim pod koniec stan jakby ciągłego rozjątrzenia, jakiejś manji prześladowczej. Więc między innymi, zabił wiernego sługę Zborowskich, Bogu ducha winnego szlachcica, Trepkę, którego ni stąd ni zowąd posądził, że go szpieguje, że się na niego zasadza. „W lesie go zabił i tamże w chróście pochować rozkazał.“ *) W ostatnich godzinach życia ogarnęła go skrucha, i przed urzędem w Krakowie zeznał przed śmiercią: „Słusznie mię Pan Bóg oddał na to miejsce, widzę, że krew niewinna ludzka, którąm rozlał, pomsty na mnie woła, bom siedmiu zabił ręką swą.“ **)

Ciemniejszą postacią był Krzysztof. Brak mu nawet tych blasków junakierji, fantazji, odwagi, jakie bądź co bądź biły od Samuela. Był to człowiek podstępny, chciwy, przeżuwający długo zemstę swą i nienawiść, niesłychanie zawistny i ambitny. Jak wszyscy Zborowscy, był przekonany, że oni Zborowscy „urodzeni synowie koronni“, do wszystkiego w tej koronie mają prawo, że im się wszystko od Polski należy, ale ani myślał o tem, coby się Polsce i innym ludziom od nich należeć miało. W sprawach publicznych miał punkt widzenia wyłącznie osobisty, samolubny, ciasny. Dobre jest w polityce to, co dla Zborowskich dobre; złe, co dla nich być może szkodliwe. W liście na Niż wysłanym do Samuela, radzi mu nie narażać Polski wyprawami niżowemi na wojnę z Turcją, „bo szlachtę obruszysz na wieki, której nam właśnie potrzeba.“ Wiedział doskonale, jaką potęgą jest w Polsce popularność, umiał na nią pracować, umiał ją wyzyskać. Nie o Polskę mu chodziło, chodziło mu tylko o *„nas“*, o Zborowskich. Radca cesarski, służył Habsburgom, wchodził w zmowę z wysłańcami carskimi. W duszy jego kipiała ponura i zacięta nienawiść przeciw tej Polsce, która na nich, Zborowskich nie poznała się, ich, Zborowskich, skrzywdziła, i taka sama nienawiść przeciw wszystkim wrogom politycznym, a już najbardziej przeciw królowi i kanclerzowi.

To też po ścięciu Samuela mściwa agitacja Zborowskich wzburzyła całą Rzeczpospolitę. Nawet najlepszy z nich i najuczciwszy Jan Zborowski, bohater bitwy pod Lubieszowem, w której rozgromił zbuntowanych Gdańszczan, wierny dotąd królowi, przerzucił się teraz zupełnie na stronę braci. Rodowa solidarność Zborowskich, „urodzonych panów tej korony“, przeważyła szalę praworządności i wierności Rzeczypospolitej. Gdy zaś postanowiono wkońcu wytoczyć Krzysztofowi proces o zdradę stanu na sejmie 1585 r., Zborowscy podburzyli z góry szlachtę na sejmikach. Zwłaszcza na sejmiku w Proszowicach, Krzysztof wygłosił wielką namiętną, demagogiczną mowę, pełną ciemnych insynuacyj przeciw „niewdzięcznej“ ojczyźnie i gróźb zuchwałych pod adresem kanclerza i króla. „Ja oto jeden z domu Zborowskiego — mówił między innemi —

*) Djarjusz, j. w., 114.

**) Tamże, 113.

przed Bogiem Ojcem i tym ołtarzem świętym sumienie i poczciwość moją obowiązuję, że, nie oglądając się na nic, ani na żadne dobro ojczyzny tej, korony, która mi macochą, a nie matką jest, wszelakiemi sposoby zamordowania mścić się brata mego nad nieszlachetnym nieprzyjacielem (t. zn. Zamoyskim) nie przestanę.“ *)

W myśl tych pogróżek Zborowscy przysłali na Sejm przedewszystkiem siłę zbrojną. Czytamy o tem w djarjuszu pod datą 24.1.:

„Eodem die burmistrz Warszawy przyszedł do Pana Marszałka koronnego, który na podagrę stękał, dawając znać, że Zborowscy cicho między mury zawżdy jednę bramę osadzają strzelcoma... że przyjdzieli do tego, chcą miasto zapalić i impetum na dziekana uczynić, gdzie stał Pan Kanclerz.“

Marszałek stropił się tym meldunkiem niemało i, jako odpowiedzialny za porządek obrad sejmowych i bezpieczeństwo, zarządził nadzwyczajne środki ostrożności:

„Pan Marszałek koronny, choć na podagrę chory... gdy Zborowscy mieli kilkuset strzelców przy sobie i jazdy niemało... w zamku tak rzeczy opatrzył. U schodu postanowił hajduków swych 60... Potem przed radną izbą harcerzy królewskich... z broniami harcerskiemi, komorniki i sług dworzańskich... We drzwiach u śranków postawił Kretkowskiego, a przy nim sześć osób... aby w śranki nikogo nie puszczali, k'temu, aby na Krzysztofa Zborowskiego w oczy pieczą mieli.“

Stwierdzić trzeba, że wobec pogróżek zamachowych Zborowskich, przeciwnicy ich, a zwłaszcza Zamoyski, też przybyli zbrojno, Ale Zamoyski zaraz po przyjeździe oddał ludzi swoich pod rozkazy Marszałka, jako jedynego na terenie sejmowym prawowitego gospodarza i pana. Tłumacząc się potem z ich przyprowadzenia na Sejmie, powołuje się na proszowickie groźby Krzysztofa i powiada:

„Nie żebym się śmierci bał... Ale żebym miał iść nieprzyjacielowi na plac, jako owca na rzeź toby było przeciw rozumowi“... I dodał, stwierdzając spokój swój i ufność człowieka o czystem sumieniu: „Ja też sprawiam się, jak człowiekowi spokojnemu przystoi; goły brzuch przynoszę in hunc consessum, nie ubieram się w zbroje, ani w żadną rzecz dla lepszego i pewniejszego zdrowia opatrzenia...**)

Środki ostrożności okazały się zbyteczne, czy raczej może właśnie skuteczne. Krzysztof, *przekonawszy się, że Sejmu zamachem zbrojnym nie zaskoczy, postanowił* uciec się do innego sposobu: *sabotować sąd, grać na zwłokę, przeciągając proces, zmęczyć Sejm, skłócić za pomocą swoich stronników i rozbić wkońcu.*

Więc przedewszystkiem sam się nie stawił. Z całej rodziny Zborowskich zjawił się tylko Jan, który zażądał glejtu bezpieczeństwa dla brata. Stwierdzono, że glejt jest zbędny wobec wiążącego prawa „neminem captivabimus nisi iure victum“. Ale Batory, który doskonale orjentował się w taktyce Krzysztofa i chciał mu odjąć wszelkie preteksty do zwłoki, kazał glejt wystawić. Krzysztof oczywiście, nie skorzystał z niego i jego zastępcy (brat Jan i osławiony Jakób Niemojowski) zażądali teraz, aby wolno im było stawać w jego imieniu.

*) Script. rer. Pol., XVIII, 385

**) Djarjusz 40.

Król mimo sprzeciwu instygatora koronnego, przyzwolił. Stronnicy Krzysztofa robili dalej obstrukcję, wysuwając coraz to inne, czasem bezczelne wprost żądania, jak np. żeby król nie brał udziału w sądzie senackim, żeby natomiast dopuszczeni byli do niego posłowie, rzecz dotąd niebywała. Król, wciąż wobec tych szykan nieporuszony i spokojny, nakazywał senatorom badać podstawy prawne wszystkich tych żądań po kolei i przegłosowywać je. Orzeczono, że w myśl prawa król ma dalej przewodniczyć sądowi, a posłowie, (zgodnie z życzeniem króla, który chciał, żeby wszystko słyszeli), mają być obecni, jednak bez prawa głosu. Wkońcu przystąpiono do procesu. Odczytano listy Krzysztofa, przesłuchano świadków. Dowody knucia zamachów i zdrady były oczywiste. Nadto Krzysztof we właściwy sobie namiętny i wulgarny sposób w listach lżył króla i jego stronników. W liście do Samuela z lipca 1583 nazywa króla Baalem, bałwanem, psem węgierskim, tyranem, psim zębem (sic), kłamcą, brata Jana, który wtedy jeszcze wiernie służył królowi, nazywa Judaszem, smrodem (sic), „kujonem“ królewskim i kanclerskim. *)

Król milczał. Tylko biskup kujawski zareagował w sposób trafnie dobroduszny na wszystkie dzikie tego rodzaju na króla napaści, mówiąc: „Słowa te są plugawe, brzydkie obraźne, ale W. K. Mci Panu memu Miłościwemu tak szkodzą, jako słońcu rzeczy plugawe; słońce, choć wschodzi in obscuro, przecie ono się nie pomaże, nie śmierdzi, zawsze piękne. Także W. K. Mć.“ **)

Na tymże Sejmie miał Krzysztof sprawę z Zamoyskim, oskarżony przez niego o potwarz jako, że na sejmiku proszowickim opowiadał, że kanclerz knuje zamach na jego życie i nasłał na niego człowieka, żeby go truł. W tym procesie Krzysztof zachowywał się zupełnie taksamo, jak w tamtym, żądając przez zastępców ciągle, naprzód odroczenia sprawy, potem kwestjonując forum sejmowe, które już był przedtem uznał itd. itd. To też Zamoyski z oburzeniem napiętnował wkońcu te „jakieś samołówki, jakby nogi zastawianie, a prawie lekkie tej sprawy uważanie“... Pozwałem go — mówił — cztery niedziele przed sejmem, aby on miał czasu dostatek, vicissim mnie pozwać i sposobić swe probationes przeciw mnie. Teraz mi każe czekać do roku... Tu o tem plac mówić, nie pokątnie... Proszę, aby W. K. Mć nie pozwolił (na to) stronie pozwanej.... która nie wiem, co za znak w sobie poczuwa, aby nie przychodzić do sprawy... Ale dosyćby źle takich labiryntów używać około sławy, około poczciwości, na której człowiekowi dobremu wszystko zależy“.

Na co stary wojewoda podolski Mikołaj Mielecki, rubasznym lapidarnym stylem swoim przytaknął, sentencjonalnie:

Dawna przypowieść: „około oka a sławy dobrej nie dłub“.

Taksamo stwierdził i arcybiskup gnieźnieński, Karnkowski: „Nietylko ten zabija, który zdrowie odejmuje, ale i ten, co odejmuje dobrą sławę“.

Instygator Rzeczycki stanął pod każdym względem na wysokości swego trudnego zadania. Okazał się nietylko pierwszorzędnym znawcą prawa, ale i mówcą znakomitym, bystrym, ciętym. Wykazał też wielką odwagę cywilną, broniąc spokojnie i niewzruszenie zagrożonej reduty prawa, która zdawa-

*) Djarjusz, 99—100 oraz 327.

**) Djarjusz 177.

Silny rząd (c. d.)

ło się, w żaden sposób nie ostoi się, wobec gwałtownych szturmów i coraz większego nacisku ze strony wzburzonej przez demagogję Zborowszczyków, izby poselskiej. Wzburzenie było tem większe, im bardziej niewątpliwa okazywała się logiczna i moralna porażka obrońców. Wszystkie ich kruczki przemyślne, cała kazuistyka adwokacka rozbijała się jak o mur, o prawdę i prawo bronione nieustępliwie i twardo przez Rzeczyckiego. Można też zrozumieć, że gdy po śmierci Batorego Zborowszczyzna znów podniosła głowę, to wśród warunków ugody, jakie stawiano Zamoyskiemu, znalazło się żądanie potępienia i zniszczenia wydanej po tym sejmie broszury Rzeczyckiego, zawierającej akt oskarżenia i mowy instygatora, oraz o potępienie też i zniszczenie „komentarzy" Heidensteina. Zamoyski odpowiedział listem, gdzie w szczególności o tem żądaniu pisze dosłownie:

„Cierpiałaby na tem wolność Rzeczypospolitej, gdyby jakiekolwiek pisma potępiono. Zresztą *daremne to usiłowania i próżna z książkami wojna, bo im bardziej książki zakazane, tem więcej bywają poszukiwane. Jeżeli kto ma co przeciw książce, niech pismem innem na to odpowie*, wszak nie wstydzili się tego sposobu i najwięksi na świecie monarchowie. Zresztą prawda sama z siebie się wyświęca, z dnia na dzień widoczniejsza się staje, a *fałsz upada, jeżeli go jeszcze współczesne usiłowania wykryją*".

Tak kanclerz Zamoyski, reprezentant politycznej spuścizny ideowej Batorego, bronił wolności słowa w Polsce XVI-go stulecia. A jakże często robi się z Batorego i Zamoyskiego wyobrazicieli dążeń samowładnych i despotycznych, omal że nie patronów systemu rządów policyjnych i cenzury prasowej.

Zborowszczycy doskonale bądź co bądź zrozumieli, słuszność słów Zamoyskiego, że „fałsz upada, jeżeli go jeszcze współczesne usiłowania wykryją",— to też wszelkich środków używali w walce o to, żeby go „współczesne usiłowania" nie wykryły. Sąd sejmowy z r. 1585 to dramat dziejowy, godny pióra Szekspira. Pod gładką, spokojną powłoką mów sądowych, miarkowanych względami na powagę Senatu, na obecność króla, na opinję zagranicy (na ten ostatni wzgląd sam Batory z naciskiem zwracał uwagę), kipią utajone, źle stłumione namiętności, snują się zakulisowe intrygi, i wszystko to wybucha w zwrotnych momentach dramatu. Stąd dziwne zachowanie się senatorów: między królem, jako reprezentantem prawa, a Zborowszczyzną, przedstawiającą siłę roznamiętnionego żywiołu szlacheckiego, lawirowali zrazu jak między Scyllą a Charybdą. Wyczuwa się działanie nacisku z zewnątrz, strach przed utratą popularności, przed terorem zdemoralizowanej i wypaczonej opinji ludu szlacheckiego, — albo i wprost przed siłą, przed ewentualnym rokoszem, zamachem stanu. Stąd po przemówieniach, w których wyraźnie, nawet bardzo ostro czasem potępiano Krzysztofa, następowały vota niezdecydowane: najwidoczniej nie umiano sobie tego wyobrazić, aby Zborowski mógł być, jak jakiś pierwszy lepszy, skazany, ukarany, poniżony. Poparto więc zuchwałe i niedorzeczne żądanie obrony, aby Krzysztof sześciokrotny już banita, któremu świeżo udowodniono szereg nowych przestępstw, mógł na podstawie statutu „o mężu dobrej sławy" (de viro bonae famae), poprostu wyprzysiąc się zarzuconych mu zbrodni. Przyznawano rację oskarżycielowi — i proszono o pobłażliwość dla oskarżonego, o uszanowanie szlacheckich przywilejów i wolności. Jedni prosili, drudzy oburzali się, protestowali, grozili. Wtedy zabierał głos król.

Ciekawe te mowy Batorego, zawsze krótkie, w formie wytworne, w treści rzeczowe, zwięzłe, jasne, bez śladu retoryki, zniewalające rozumowaniem przejrzystem i akcentem bezwzględnej szczerości, charakteryzują doskonale niepospolitą indywidualność tego człowieka, jego naturę prawą i otwartą, ambicję w szerokim szlachetnym stylu, potężną uczuciowość, doskonale opanowaną przez silną wolę i myśl bystrą rzetelną, logiczną.

— Jakto? — mówił. — Ościk ścięty, inny ćwiartowany, Masłowski więziony, a Zborowski za tę samą zbrodnię kardynalną ma być wolno puszczony? Dlaczego?... Jeśliby człowiek, któremu się udowodniło, że jest łotrem, mógł się dalej uważać i być uważany za porządnego człowieka, to jakże by nędzną stała się Rzeczpospolita!... *Co będzie z tej Rzeczypospolitej, jeśli w niej ludziom nieuczciwym tyle będzie wolno?...* Co sądzić będzie o nas potomność, co powiedzą nasi następcy, gdy godność urzędu królewskiego zostawimy im tak przez nas samych osłabioną i poniżoną? Uznają nas albo za tak tchórzliwych, *że nie ośmieliliśmy się karać za występek*, albo za tak ciemnych, że nie zrozumieliśmy jego powagi. Co więcej inni monarchowie i obce narody, mając wzrok na nas skierowany i bacznie śledzą tę sprawę, mogłyby też mniemać, że zabrakło nam odwagi do skutecznego ochronienia naszej godności i bezpieczeństwa, albo, że królestwo to znajduje się w stanie takiego zamętu i rozprzężenia, iż choćbyśmy to uczynić chcieli, nie możemy... *Niechaj więc prawu zadość się stanie i niech odzyska swą powagę.* Potem ostrość wyroku będziemy mogli nieco złagodzić i okazać niejaką pobłażliwość"...

W ten sposób niezłomnie konsekwetne stanowisko króla sprawiło, że wbrew wszystkim atakom, gwałtom i podstępom strony przeciwnej proces doprowadzono do końca i wyrok ogłoszono: Krzysztof został skazany na utratę czci i dóbr oraz na wygnanie.

Gdy jednak Batory w niespełna dwa lata po tem umarł, Zborowscy rozwinęli niesłychaną demagogję, żeby powetować swoją przegraną. Najbliższe sejmy konwokacyjny i elekcyjny należały dzięki temu do najburzliwszych w dziejach Polski. Na konwokacji Zborowscy urządzili zamach na życie Stanisława Żółkiewskiego, wówczas posła bełzkiego. Słudzy Zborowskich zasadzili się na niego na moście, gdy wracał z Sejmu do domu. Cudem uniknął śmierci. „Wszyscy oburzyli się na to — pisze Heidenstein, że na zjeździe publicznym, na którym bezpieczeństwo wszystkim zapewniono, zgwałcono na osobie posła prawo powszechne, które wszędzie za święte powinno być uważane". Na sejmie elekcyjnym Zborowszczycy napadli na orszak Zamoyskiego i zamordowali jednego z dworzan.

Gwałty i agitacja demagogiczna zrobiły swoje. Uchwalone pod naciskiem Zborowskich nowe ustawy z r. 1588 zapewniły daleko idącą bezkarność całej Zborowszczyźnie, — sejm z r. 1589 nakazał wieczne milczenie w sprawie Samuela, — wreszcie sejm z r. 1591 uchylił wyrok, wydany na Krzysztofa. Odtąd. po tym jaskrawym tryumfie siły nad prawem, Rzeczpospolita zaczyna się staczać po równi pochyłej bezprawia aż do *tragicznego* końca.

Irena Pannenkowa.

Na marginesie ostatniego przesilenia

Prasa sanacyjna pomimo tego, że gardzi parlamentaryzmem, że ma nader swoiste pojęcie o praworządności lubi od czasu do czasu, dla dodania powagi swemu obozowi, występować z argumentem, że nasze rządy pomajowe powstały w sposób normalny, konstytucyjny i że zresztą innych rządów być nie może, gdyż w Sejmie nie ma większości z którejby mógł wyjść premjer i utworzyć odpowiedni rząd.

Otóż powszechnie przyjętym zwyczajem w państwach z systemem rządów parlamentarnych jest, że: głowa państwa po ustąpieniu gabinetu, który stracił zaufanie parlamentu proponuje utworzenie rządu komuś z pośród tych stronnictw, które poprzedni rząd obaliły i dopiero wówczas gdy próby powołania rządu powstałego z pośród nich zawiodą zwraca się do osoby z pośród stronnictw innych, a nawet tych które popierały rząd obalony.

U nas po maju 1926 r. bywa na odwrót: propozycje tworzenia rządu robione są zawsze osobom należącym do sanacji i zgóry się przesądza, że rząd stworzony przez polityka z obozów innych jakoby nie znajdzie większości na której mógłby się oprzeć.

W ten sposób troskę premjera, którego zadaniem jest tworzenie rządu i znalezienie dla niego większości bierze na siebie Pan Prezydent.

W każdym razie jest rzeczą nie dopuszczalną, aby w nowym gabinecie mógł znaleźć się minister, który poprzednio otrzymał votum nieufności (jak to się stało z p. Prystorem). Sprzeciwia się to wyraźnie Konstytucji. Rząd, który otrzymał votum nieufności może pozostać, ale wówczas należy Sejm rozwiązać i to zaraz *).

Przed paroma dniami „Gazeta Polska" w artykule wstępnym zaznaczyła, że stało się zadość wymogom parlamentaryzmu, że pan Sławek stworzył rząd, ponieważ w Sejmie nie ma większości zdatnej poprzeć rząd nowy, wychodzący z opozycji.

Twierdzenie to jest zupełnie gołosłowne na niczem nie oparte, a przedewszystkiem przedwczesne. O jakiej bowiem większości może tu być mowa? Oczywiście, w Sejmie naszym nie ma takiego stronnictwa, któreby samo posiadało większość względną stałą i niema też trwałego bloku stronnictw pokrewnych.

To samo jednak widzimy obecnie w państwach innych z systemem rządów parlamentarnych i to nie tylko we Francji, ale nawet i w Starej Anglji, w której gabinet Partji Pracy istnieje tylko dzięki cichej zgodzie na to liberałów. Cywilizacja dzisiejsza bogata i skomplikowana z żelazną koniecznością prowadzi do różniczkowania się stronnictw. System dwu partji niewątpliwie bardzo dogodny dla parlamentaryzmu należy do przeszłości.

Pomimo tego jednak widzimy, że parlamentarny system rządów istnieje bez względu na ataki ze strony wsteczników i komunistów. Nawet t. zw. rządy fachowe nie są niczem innem jak rządami mającemi faktyczne poparcie większości, bez wiązania się jej z niemi.

I u nas nie było niemożliwością utworzenie rządu, któryby znalazł poparcie większości w Sejmie. Nie próbowani jednak tego.

Każdy rząd powstaje na tle pewnych potrzeb. Często bywa tak, że okoliczności wymagają, aby pewne sprawy specjalne były załatwiane i to na pierwszym planie.

Tak jest właśnie obecnie u nas. Na plan pierwszy występują zagadnienia:

1. poprawy stanu finansowego;
2. walka z bezrobociem;
3. organizacja i polityka samorządów.

Wszystkie te sprawy są bardzo pilne i porozumienie się stronnictw na ich gruncie, oczywiście nie wszystkich, jest możliwe. Nie znaczy to bynajmniej, aby w tych sprawach, w poszczególnych punktach nie było żadnych różnic pomiędzy stronnictwami opozycyjnemi; ale nie wynika z tego jeszcze, aby pomimo pewnych różnic nie można było przeprowadzić w Sejmie pewnych ustaw.

Wyobraźmy sobie, że ktoś z centrolewu otrzymał misję tworzenia rządu. Stronnictwa wchodzące w skład niego rozporządzają 170 z górą głosami. Do większości absolutnej trzeba przynajmniej 223 głosów. W wielu sprawach centrolew mógłby uzyskać poparcie stronnictwa narodowego (w sprawach praworządności, poprawy finansów i t. p.), w innych części mniejszości narodowych.

Może ktoś powie, że taka większość byłaby nietrwałą. Zapewne, ale czy p. Sławek większą rozporządza większością. Sam centrolew ma za sobą więcej o jakie 40 głosów od stronnictw sanacyjnych.

Zresztą mógłby powstać rząd z osób niezbyt zaangażowanych politycznie, któryby mógł jednak czas pewien rządzić z pożytkiem, a nawet dłużej od p. Świtalskiego.

Znalazłyby się osoby w rodzaju p. Dutkiewicza nie należące do żadnego stronnictwa, ale możliwe do współpracy z Sejmem.

Ale i takiej próby nie chciano zrobić. Sanacja nie potrzebuje się więc trudzić aby dowieść, że powstanie rządu p. Sławka zgodne jest z zasadami parlamentaryzmu.

Sanacja może tylko powiedzieć, że ma poparcie sfer decydujących i bez względu na parlamentaryzm, przepisy konstytucyjne chce rządzić, bo dziś jeszcze siłę fizyczną ma za sobą.

Na to odpowiedzieć można to tylko, że siła fizyczna w państwie na tle szybko zmieniających się stosunków także ulega i ulec musi zmianom i że historia nas poucza, że nieraz ludzie bardzo nawet wytrawni praktycy i teoretycy nie orjentowali się należycie w tem w jakim momencie układ sił fizycznych uległ zmianie. I nasza sanacja może się w tem nie zorjentować.

Cały szereg faktów dowodzi niewątpliwie, że kierunek polityczny którego wyrazem zewnętrznym jest gabinet p. Sławka, ma coraz mniej zwolenników w społeczeństwie; co więcej, że wywołuje w niem coraz większą nienawiść ku sobie. Po czterech latach rządów ludzie majowi mają dziś trudności te same co przedtem.

Stosunki gospodarcze w 1926 były o wiele lepsze niż dziś.

*) Nie można jednak pozostawiać starego rządu, albo jego członka co miał votum nieufności przy władzy, a dopiero później rozwiązywać Sejm.

Na marginesie przesilenia (c. d.)

Obóz majowy miał przedtem poparcie znacznej większości mas robotniczych, a częściowo i chłopskich które dziś w ogromnej większości są przeciwko niemu.

Na terenie polityki zagranicznej położenie Polski obecnie jest gorsze niż było przed majem 1926 r. Pozycja Niemiec wzmocniła się znacznie, a opór przeciwko ich rewizjonistycznym tendencjom osłabł.

Sprawa mniejszości narodowych, skutkiem bezprogramowości rządu, a częściowo jego błędnej polityki — zaostrzyła się.

Wobec tych trudności gabinet p. Sławka wygląda bardzo słabo i biednie. Niezdoła on nic więcej zrobić, niż zrobił rząd p. Świtalskiego. Za kilka miesięcy trudności gospodarcze i polityczne doprowadzą p. Sławka do tego do czego doprowadziły w grudniu u. r. p. Świtalskiego. Ani grożenie pięścią, ani sam p. Car nic tu nie pomogą.

Obóz rządzący powinien zdawać sobie sprawę, że im dłużej będzie u władzy i sztucznie przy niej trzymać się będzie—tem upadek jego będzie głębszy i zdecydowanie bezpowrotny.

Gabinet p. Sławka uważać należy za akt rozpaczy obozu sanacyjnego. Dobre miny nic nie pomogą. Śmiać się będzie dobrze ten, co śmiać się będzie ostatni, jak mówi przysłowie francuskie.

Ludwik Kulczycki.

Z rozmyślań dnia dzisiejszego

Mam zamiar oświetlić dzisiaj jedną z dziedzin naszego wewnętrznego życia, dziedzinę wielce ważną, codziennej bieżącej lektury.

* * *

Biorę do rąk pierwsze z brzegu pismo warszawskie codzienne, a ponieważ interesuje mnie literatura piękna, rzucam nasamprzód okiem na odcinek powieściowy, następnie na dział — nowe książki.

Potem przeglądam rubrykę — teatr.

I co widzę?

— W odcinku, w przeglądzie nowych książek, w sprawozdaniach teatralnych — przeważnie obcy, przeważnie nikomu nieznani z imienia i nazwiska autorzy.

Słowem — import.

Zaczynam czytać, a mam ten zwyczaj, że czytając cośkolwiek zwracam przedewszystkiem uwagę na język.

Otóż język...

Gdyby prof. Kryński, Berent, Bartkiewicz, czy Rygier - Nałkowska, rozkochani w pięknie naszej mowy, owe odcinki i książki czytywali, nie jestem pewny czy-by nie poczuli wstrętu do pióra i nie zaprzestali pisać po polsku.

Treść w zupełności odpowiada formie, a jest w 95 proc. kryminalna.

By ujść śmierci głodowej, śladem obcych, poszli niektórzy swoi, przeważnie powojenni literaci.

Strach bierze na myśl, że „literaturę" tego rodzaju czyta i na niej swój światopogląd i gusta urabia młodzież polska.

W czasie wielkiej wojny Królewiacy, służący w Legionach dla swego i swoich rodzin bezpieczeństwa, używali zamiast nazwisk pseudonimów.

Zdawało się, że całkiem niepotrzebnie śladem Królewiaków poszli Małopolanie.

Dlaczego to zrobili?

Dlatego, że chcieli nosić imiona Wallenrodów, Kordjanów, Judymów, Ostów, zaś przedewszystkiem Zagłobów, Kmiciców, Skrzetuskich, Podbipiętów, Wołodyjowskich, Jaremów.

Byli też i Bohuni.

Czyniła to młodzież robotnicza miejska i wiejska, rozkochana w dziełach rasowych pisarzów polskich i dzieła te, obok czarnego chleba, w tornistrach żołnierskich nosząca; czynili to równie chętnie inteligenci.

W każdym Baonie było takich Kmiciców i Wallenrodów po kilkunastu, ku utrapieniu szarż, prowadzących ewidencje, zwłaszcza prowiantowców.

Oto jak literatura oddziaływa na młode, wrażliwe dusze.

A teraz pytanie:

Jakie - by nadali sobie przezwiska i pseudonimy młodzi ludzie, rozczytani w powojennej literaturze kryminalnej?

Nie ciekawe.

Wątpię również, czy taka młodzież poszłaby w razie potrzeby bić się z własnej chęci o Polskę na front.

* * *

Panowie właściciele firm wydawniczych i pism codziennych składają całą winę na słabą podaż w dziedzinie twórczości pięknej polskiej.

Czy tak jest rzeczywiście?

Wszak Gebethner i Wolff, najstarsza i najsympatyczniejsza firma polska wydawnicza, w interesie kupieckim i z obowiązku obywatelskiego wydaje wyłącznie utwory pisarzów polskich i nie uskarża się na brak materjału.

Przeciwnie — wiem o tem z dobrego źródła, że nie wszystko może wydać, z powodu ogólnej mizerji, co ze względu na poziom na wydanie zasługuje.

Tak samo o ile mi wiadomo, nie skarży się na słabą podaż Kurjer Warszawski, drukujący okrągły rok prace starych i młodych pisarzy polskich.

Przypuśćmy jednak, że skarga wydawców jest słuszną — to czyż nie w ich mocy i obowiązku leży twórczość polska na polu literat. pobudzić do większej wydajności?

Wiele jest na to sposobów niezawodnych, a m. in. rozpisanie konkursu na nowele, powieść, dramat — sposób przed wojną przez wszystkie pisma poważniejsze praktykowany.

Konkurs jest podnietą i zarazem ułatwia młodym drogę do wybicia się na powierzchnię.

A droga ta jest ciężka, niekiedy bardzo nawet ciężka.

Oto dla przykładu dwa kwiatki, uszczknięte z tej zachwaszczonej łączki polskiej.

Pewien początkujący literat posłał *rękopis* powieści do redakcji pisma sanacyjnego w Warszawie, na nazwisko rozreklamowanego pisarza, kierownika działu literackiego tego pisma, zaś do rękopisu list dołączył, w którem prosił o przejrzenie i ew. dru-

kowanie utworu; na wypadek nieprzychylnej oceny, prosił o zwrot pracy — i prawo to zastrzegł sobie — jako - że miał ją w jednym tylko egzemplarzu.

Po kilku tygodniach, na zapytanie — jaki jest los powieści, otrzymał odpowiedź lakoniczną:

Rękopis został spalony.

Dlaczego, jakim prawem?

Bo my odpowiadamy za rękopisy zamawiane.

Literat przedstawił sprawę na piśmie naczelnemu redaktorowi — — i odpowiedzi nie otrzymał.

Mowa tu o piśmie, które wśród swoich współpracowników stałych ma aż dwóch b. ministrów i przesadnie często powtarza w odpowiedziach czytelnikom, że popiera sumiennie twórczość literacką polską.

Mało widać jest warta ta sanacyjna sumienność.

A teraz kwiatek drugi.

Znany autor, Maciej Wierzbiński, w przedmowie do książkowego wydania komedji „Hrabina Olesia" opowiada, jak rzeczoną komedję po przeczytaniu Dyrekcja teatrów miejskich w Warszawie zakwalifikowała na scenę, jak następnie w tej sprawie spisano umowę i wypłacono autorowi dość wysoką zaliczkę i jak mimo to wszystko — komedji nie wystawiono.

Potem autor przytacza ustęp z listu Dyr. teatru miejskiego w Krakowie, któremu, po nieudanej imprezie w Warszawie, sztukę swoją przesłał.

Oto wyjątek:

„Próby z „Hrabiny Olesi" pod kierunkiem reżysera Jednowskiego rozpoczęły się onegdaj. Sztuka otrzymała obsadę najlepszych sił zespołu i po starannem przygotowaniu wejdzie na repertuar w sobotę dn. 12 marca."

Mimo zapewnień dyrektora „Hrabina Olesia" nie weszła na repertuar 12 marca tego roku — ani nigdy

Tę przedmowę warto sobie przeczytać.

Wszystko, co obce — sztuka, powieść, nowela — jest w Polsce dobre, bodaj najgorsze. I krytyk na obcy utwór się nie porwie, bo jakże...

Takie, panie tego, tryumfy zagranicą — napisze ktoś z oburzeniem w Wiadomościach literackich.

Więc się w nim żółć zbiera, której nie omieszka wypluć, gdy mu się pod pióro dostanie swojak.

Niech mi zaś wskaże, kto chce, te obce teatry, wydawnictwa, pisma, gdzie się wystawia, drukuje i wydaje powieści i sztuki polskie?

Jeśli się tak zdarzy, że czasem komuś tam coś kapnie z zagranicy, czyni się z tego taki harmider nadzwyczajny, jakby Bóg wie co się stało.

Niepoważne to, a czasem wręcz nawet kompromitujące.

* * *

Stan taki trwa już lata.

Gdy trochę dzisiejszych pisarzy wymrze śmiercią naturalną, trochę z głodu — zostanie pustka.

Nowi nie przyjdą, jako że wszystko co można robi się, żeby nie przyszli.

Mówiono i, niestety, na mówieniu się skończyło, o ustawie o tworzeniu bibliotek gminnych.

Ustawa, gdyby uchwaloną została, piękna i skuteczna — plaster na umysłową zaśniedziałość wsi polskiej — i jakież wielkie zapotrzebowanie na dobrą książkę polską!

I w tem, jak mówią, sęk.

Co poczną handlarze książką złą?

Do tej zasadniczej ustawy należy dodać kilka pomocniczych.

Przelewać corocznie pewne sumy na rachunek poważnych wydawnictw, dyrekcji teatrów, pism codziennych i perjodycznych na nagrody, drogą uczciwego konkursu, za dobry dramat, nowele, powieść.

Te sposoby dadzą lepszy rezultat, niż subwencjonowanie z kas rządowych rozmaitemi sposobami różnego rodzaju lizusów i orłów kawiarnianych, o przeważnej części próżniaków i impotentów, ale — ustosunkowanych.

Kazimierz Wiśniewski.

KULISY POLITYKI

Echa, niedyskrecje, zgrzyty...

SMUTNE DOŚWIADCZENIA.

Smutne doświadczenia poczynili w okresie przesilenia rządowego dwaj ludzie dobrej woli, którym w grze przesileniowej wyznaczono bardzo swoiście pomyślane zadania. Mówimy o „misji", jaką kolejno otrzymali z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej pp. marsz. Szymański i pos. Jan Piłsudski.

Dziś, gdy to wszystko należy już do przeszłości, gdy najwyższa decyzja, powołująca gabinet p. Sławka dostatecznie jasno potwierdza, jakie były istotne cele tych manewrów — ogarnia nas wszystkich uczucie niesmaku z powodu stosowania tak... małych sposobów wobec tak bliskich i oddanych sobie ludzi.

Szczególnie przykrym jest wypadek p. Szymańskiego. Nie chodzi w tym wypadku o człowieka, oddanego „systemowi" z rzadkiem samozaparciem, wyjątkową bezinteresownością, prostotą i szczerością. Gdyby w tej płaszczyźnie rzeczy traktować, możnaby znaleźć nie jeden argument usprawiedliwiający tę swojego rodzaju homeopatję polityczną.

W grę jednak wchodzi autorytet marszałka polskiego Senatu. Autorytet ten doznał w ubiegłych wypadkach poważnego poniżenia, tem gorszego, że wszelki, chociażby najbardziej złośliwy przypadek, wydaje się tu być wykluczony, że cała ta gra wygląda zbyt przejrzyście, ażeby móc odsunąć kategoryczne przypuszczanie, że wszystko było z góry ukartowane, że taki był plan ostatniej „gry wojennej".

BEZSTRONNE ŚWIADECTWO.

P. Szymański poświęcił pełne dni pięć na drobiazgowe rozmowy z grupami i grupkami Sejmu. Spuśćmy — po tem co ostatecznie się stało — zasłonę na różne „szczegóły" tych „poczciwych" konferencyj. Podkreślmy raczej to, co o nich uważał za wskazane zaakcentować sam niedoszły premjer.

W wyjaśnieniach swych, udzielonych klubowi sprawozdawców parlamentarnych w krytycznym dla siebie dniu przesilenia (25 marca) — wyraził się m. in. p. Szymański, że znalazł „nowe możliwości współpracy", wyczuł „ogromne pragnienie pokoju i chęć lojalnej współpracy oraz gotowość zapomnienia dawnych zadrażnień". Dodał następnie, że „rozmowy toczyły się w płaszczyźnie czysto rzeczowej ... sine ira et studio".

Takie świadectwo o zachowaniu się „rozpasanego partyjnictwa", o „wichrzycielach sejmowych" wydał człowiek bezwzględnie z systemem pomajowym

Kulisy polityki (c. d.)

związany, człowiek na wskroś prawy i uczciwy, który nawet po doświadczeniach, towarzyszących finałowi jego misji — nie umiał znaleźć innej odpowiedzi nad tę, że solidaryzuje się „ze wszystkiem, co robi marsz. Piłsudski"...

TRZYNASTY DZIEŃ...

Inaczej natomiast oceniono stanowisko niezależnej większości sejmowej w innem decydującem miejscu. Marsz. Piłsudski odpowiadając na przedstawiony mu przez p. Szymańskiego stan rzeczy — nie omieszkał przedewszystkiem podkreślić, jak wielkie są w jego mniemaniu dotychczasowe wyniki regime'u sanacyjnego. Dowiedzieliśmy się tedy, że „Polska ma dlatego dziś uznanie zagranicy, że system pracy rządowej został wysoko wykwalifikowany" i, że zachodzi obawa utraty tych „walorów", gdy „panowie posłowie znowu zaczną mieszać się do rządzenia". A to niebezpieczeństwo jest bliskie, gdyż posłowie „chcą zgody, bo są zapędzeni w ślepy zaułek".

W tym punkcie okazało się, że cele obu Marszałków są zasadniczo... różne. Marsz. Szymańskiego spotkał ze strony marsz. Piłsudskiego zarzut, że chce posłów wyciągnąć z... „zaułka". O sobie samym zaś marsz. Piłsudski powiedział, że jego zadaniem jest uzyskać „gwarancje, że dzieło z takim wysiłkiem tworzone nie zostanie zniszczone". W ten sposób doszło do znanych, czterech „warunków", które zlikwidowały misję „pojednawczą" marsz. Szymańskiego.

Tak się zakończył trzynasty dzień przesilenia!

POSŁOWIE I... „POSŁAŃCY"...

Marsz. Piłsudski, formułując swoje „warunki" nie łudził się chyba ani na chwilę, by ktokolwiek w Sejmie mógł je zaakceptować. Mówiąc o Sejmie, nie mamy oczywiście na myśli tej części jego członków, którzy formalnie jedynie doń należą, wszedłszy tam zresztą w znacznej części w sposób, który ich moralnie dyskredytuje jako „przedstawicieli narodu", co zresztą dość wyraźnie potwierdzają już nie tylko fakty znane z głośnego „druku sejmowego nr. 570," ale i coraz częstsze orzeczenia Sądu Najwyższego.

Ci osobliwego gatunku nie tyle „posłowie", co „posłańcy" gotowi oczywiście przyjąć każde, nawet zupełnie in blanco do podpisu im dane „warunki", — bo cóż im ostatecznie pozostało?

Ale z ludzi wkładających w pojęcie parlamentaryzmu treść logiczną chociażby najbardziej pod względem „nastawienia" społeczno - politycznego umiarkowaną — nikt nie może nawet dyskutować o rzeczach, których przyjęcie przekreśliłoby samą rację, sam sens istnienia przedstawicielstwa narodowego...

Dlatego to odpowiedź Sejmu na „warunki" marsz. Piłsudskiego mogła być udzielona niemal „na gorąco" i wypadła z rzadką jednomyślnością i wyrazistością. Udzielając jej, stronnictwa kierowały się nie żadnemi uprzedzeniami partyjnemi, ale najbardziej zasadniczo pojętym, głębokim interesem państwowym...

BLUFF KONSTYTUCYJNY

Przyjdzie niechybnie czas, kiedy publicystyka polska (a może nie tylko publicystyka!) będzie mogła z większą niż dziś swobodą zająć się rozwiązaniem zagadki, dlaczego tego rodzaju „warunki" w marcu 1930 r. stawiał Sejmowi polskiemu człowiek w którym jeszcze dziś wielu ludzi chce widzieć wodza i wychowawcę polskiej demokracji, który jeszcze nie tak dawno temu sam siebie nazwał „wynalazcą Sejmu, a zatem i wynalazcą panów posłów"...

W tej chwili inną rzecz godzi się zanotować i podkreślić. Oto wśród owych „warunków", brak jednego, który zdawałoby się ze stanowiska racji stanu pomajowego regime'u, wydałby się najbardziej na miejscu, najbardziej logiczny...

Ani jednem słowem mianowicie nie została poruszona kwestja rewizji Konstytucji...

Szukając tedy politycznego sensu w treści tych „warunków", dojść musimy do jednego, niewątpliwego zdaje się, wniosku. Oto w tej chwili, a nie brak głosów, które nieprzerwanie to głosiły od czerwca 1926 r., od chwili pierwszego projektu rewizji Konstytucji, zgłoszonego przez gabinet Bartel — Makowski — staje się jasnem, że zagadnienie istotnej naprawy naszego ustroju państwowego nie jest dla obozu „rewolucji majowej" niczem innem jak manewrem agitacyjnym, którego nadużywano tak długo, jak długo przypuszczano, że Sejm z miejsca ustosunkuje się doń negatywnie...

Gdy Sejm zabrał się na serjo do tego zagadnienia straciło ono nagle na ostrości i ... aktualności...

DYWERSJA P. SZYMAŃSKIEGO

Odrzucenie „warunków" marsz. Piłsudskiego spowodowało implicite upadek misji p. Szymańskiego. Co do tego związku tych faktów ustaliła się w kołach politycznych dość jednolita opinja, że było to stanowczo nadużycie dość dużej stosunkowo „berty" do niezupełnie współmiernego z tem celu...

Pocisk był istotnie za ciężki nawet, gdyby przyjąć za prawdopodobną kursującą w tym dniu (25 marca) pogłoskę, że p. Szymański ponoć nie „dopisał" w jednym punkcie, a mianowicie, że wystrzelił ów groźny „nabój" aż z czterech „warunków" złożony — o całe trzy dni zawcześnie... Właściwe bowiem dyspozycje miały być tego rodzaju, że ta ostatnia „bomba" paść miała dopiero w piątek 28 marca to jest faktycznie w przeddzień ostatniego terminu, w jakim się mogło, przy zachowaniu postanowień art. 25 Konstytucji, odbyć posiedzenie Sejmu...

Trudno wyjaśnić czemu przypisać tę mimowolną... dywersję. Może po prostu p. Szymańskiemu nie dopisały nerwy? Wskazywałaby na to m. in. informacja podana przez sanacyjny „Il. Kurjer Codzienny", że po złożeniu misji p. Szymański poprostu... rozpłakał się...

W każdym razie złożenie przezeń misji o trzy dni zawcześnie zmusiło koła decydujące do wypełnienia tego krytycznego okresu nowem... posunięciem. Była niem misja posła Jana Piłsudskiego.

NIEPOPRAWNY OPTYMIZM

Jako rys najbardziej może charakterystyczny, który ujawnił się w nastrojach politycznych w związku z otrzymaniem misji przez posła Piłsudskiego — podkreślić należy towarzyszącą temu wyborowi dość szeroko sięgającą dezorjentację...

Gdy co do „misji" p „Szymańskiego panował od początku uzasadniony pesymizm i całkowita zgodność poglądów co do jej istotnego celu — to „misję" posła Piłsudskiego przyjęto z zgoła innem uczuciem.

Nie brakło oczywiście i tym razem niepoprawnych pesymistów. Przeważali jednak optymiści, wierzący, że zanosi się najwidoczniej na zasadniczą zmianę... Optymizm ten zyskał na sile, gdy ujawniony został program nowego premjera, polegający na konieczności odprężenia sytuacji politycznej", a to w celu umożliwienia spokojnych nowych wyborów...

Dezorjentację powiększyły jeszcze pogłoski o liście nowego gabinetu, w którego składzie brakować miało osoby marsz. Piłsudskiego, jako ministra spraw wojskowych... Uważano tę pogłoskę, jako naturalną konsekwencję odrzucenia przez większość sejmową „warunków" marszałka...

Perwszy dzień „misji" posła Piłsudskiego zakończył się bardzo różowo zarysowującem się dla wielu złudzeniem, że oto dokonywa się już pierwszy krok na drodze pokojowej likwidacji pomajowego systemu rządzenia...

DOKOŁA JANEK

Rzeczywistość prześwieciła te opary złudzeń już dnia następnego, gdy się okazało, że mimo zakończenia „konsultacyj" stronnictw już w pierwszym dniu — pos. Piłsudski kontynuuje te same „prace" i w ciągu dnia następnego. Było to już po ogłoszeniu przez kancelarję Sejmu komunikatu, wyjaśniającego motywy, dla których marszałek Sejmu, po 10-dniowym „oczekiwaniu wyniku prac przesilenio-

wych" uważał za swój obowiązek zwołać posiedzenie Sejmu na ostatni przed końcowym terminem 30 marca dzień t. j. na sobotę 29 marca.

Na porządku dziennym tego posiedzenia umieszczony został tylko jeden jedyny punkt: załatwienie poprawek Senatu do preliminarza budżetowego na r. 1930-1931.

Rzecz dziwna: W rozmowach swych z przedstawicielami klubów fakt zwołania tego posiedzenia pos. Piłsudski wysuwał jako trudność komplikującą jego pokojową misję. Nie widział tych trudności ani w zapowiedzi obstrukcji technicznej na plenum Sejmu przez klub B. B., ani w szeroko kolportowanej tego dnia odezwie „legjonistów" i „peowiaków", pełnej karczemnych napaści na Sejm i posłów...

W tych warunkach stało się jasnem, że i misja pos. Piłsudskiego ma te same zwlekające cele na oku, co i misja p. Szymańskiego. Poprostu pos. Piłsudski „wypełniał" te trzy dni, których nie starczyło już sił i nerwów „wypełniać" jego poprzednikowi.

NIE HONOROWO, ALE ZDROWO...

Wbrew groźnym zapowiedziom posiedzenie Sejmu w dn. 29 marca odbyło się i przeszło w zupełnym spokoju, o ile nie wliczać na jego rachunek bandyckiego, przygotowanego na zimno, napadu „posła" B. B. Dobrzańskiego na prezesa Klubu Narodowego p. Rybarskiego.

Ze stanowiska realnych swych interesów — klub B. B. cel swój osiągnął. Sprawa przekroczeń rachunkowych za rok 1927 - 28 i ściśle z nią związana sprawa uzupełnienia przez Sejm oskarżenia b. ministra skarbu Czechowicza przed Trybunałem Stanu — nie znalazła się na porządku dziennym obrad sejmowych.

A o to przecież jedynie i wyłącznie szło w całej rozgrywce przesileniowej! Że przy tej okazji klub B. B. wypełniając kornie zlecone mu zadanie — nie przysporzył sobie nowych wawrzynów w wieńcu swej chwały, gdyż mimo jego groźnej uchwały z dn. 18 marca i burd, wyprawianych przezeń pod wodzą p. Sławka na posiedzeniu komisji w dn. 25 marca — posiedzenie Sejmu przed zakończeniem przesilenia się odbyło — to już inna rzecz.

Cóż, że nie honorowo, kiedy... zdrowo...

REKORD POŚPIECHU.

Sobotnie posiedzenie Sejmu zapowiedziane było na godz. 11 rano. Zaczęło się z 7 minutowem zaledwie opóźnieniem. O godz. 11 m. 35 marszałek Daszyński dawszy wyraz przypuszczeniom, że „z pewnych względów" uważać musi to posiedzenie za ostatnie — zamknął obrady.

Już w kilka minut później rozeszły się pogłoski o zrzeczeniu się misji przez posła Jana Piłsudskiego. Potwierdzenie tej pogłoski nastąpiło o godz. 12 min. 30 przez oświadczenie, jakie niedoszły premjer złożył w Prezydjum Rady Ministrów dla prasy.

Bezpośrednio potem przyjęty został na Zamku prezes B. B. poseł pułk. Walery Sławek. Po krótkiej konferencji, jaka się tam odbyła przy udziale Prezydenta Rzplitej i marsz. Piłsudskiego — p. Sławek otrzymał misję utworzenia nowego rządu.

Trzy godziny zaledwie zajęły nowo desygnowanemu premjerowi konferencje z członkami przyszłego gabinetu.

O godz. 7 wieczorem nowy rząd był gotów. O 7 m. 15 złożył na ręce Prezydenta Rzplitej przysięgę.

Pośpiech zaiste rekordowy. Po 15-tu dniach przesilenia — zlikwidowano je wreszcie w ciągu 6 i pół godziny! Logicznem by było w tych warunkach zapytanie — na co zmarnowano poprzednie pół miesiąca drogiego czasu. Pytanie nieaktualne, gdyż nawet sanacyjny „Czas", musiał w trakcie tego przesilenia przyznać. że logika w Polsce przestała obowiązywać...

„Wpierw uspokojenie — później wybory"

Kilka dni temu słowa powyższe padły z ust nowego premjera p. W. Sławka. W historji Polski słyszano te słowa nie poraz pierwszy: raz użył je Aleksander II, oświadczając delegacji polskiej „naprzód spokój — później reformy", drugi raz smutnej pamięci Stołypin w innej redakcji bardzej zbliżonej do słów p. premjera: „najprzód spokój — później konstytucja".

Historja dziwnie się powtarza; przyzwyczailiśmy się do tego, że najzaciętsi wrogowie z przed laty później używają nic tylko sposobów swoich wrogów, ale nawet często wręcz ich powiedzeń, ich taktyki politycznej, państwowej i t. d. N. p. najwięksi wrogowie Napoleona — Niemcy użytkowując jego praktykę bojową mówili o nim z pełnym szacunkiem, nie uważając go już za swego nieprzyjaciela, lecz za genialnego nauczyciela, od którego wiele się nauczyć można

Zachodzi pytanie, czy Stołypina można uważać za „genialnego nauczyciela" o typie Napoleona? Czy naprawdę p. Sławka nie stać na nic więcej jak na powtarzanie frazesów. po których swego czasu setki najlepszych Polaków szły na katorgę i zesłanie? Czy nawet biorąc pod uwagę historję Rosji p. Sławek nie miał lepszych nauczycieli jak niegdyś Iwana Groźnego (patrz występy p. premjera „o łamaniu kości"), później Aleksandra II (patrz przemowa do dziennikarzy „patrzcie panowie w przeszłość") a wreszcie krwawego Stołypina ze słynnym „naprzód spokój, — później wybory".

Pomimo oficjalnego oświadczenia, iż premjer myśli i pracuje wyłącznie własnymi i nowemi kategorjami myślowemi, na zasadzie powyższego sądzimy, iż nadal będzie brał cudowne przykłady z życia wielkich dygnitarzy rosyjskch. „Les extremites se touchent" — życie wytwarza paradoksy czasem niespodziewane i zadziwiające. Naprawdę, że jeszcze miesiąc temu, myślelibyśmy o wszystkim, za wyjątkiem tego, że z ust wroga caratu z ust jednego z szermierzy buntu przeciwko carskiej przemocy, padać będą słowa przemyślane i wprowadzane niegdyś w czyn przez Moskali.

Aby ułatwić p. premjerowi pracę pozwolimy sobie przypomnieć jakie słowa **odegrały decydującą rolę w historji Rosji** po enuncjacji Stołypina

Te słowa wypowiedział jeden z kierowników policji rosyjskiej w Petersburgu, generał Trepow. Działo się to w czasie manifestacji ulicznych, gdy tłumy napierały na dworzec carski, kiedy pobladła i drżąca policja chowała się przed gniewem ludu, kiedy wojsko sprowadzone na pomoc przeciwko manifestantom przechodziło na stronę tłumu. Gdy pytano wtedy Trepowa o instrukcję, znalazła się jedna odpowiedź: „Patronow nie żaliet", po polsku „nie żałować naboi".

„Nie żałować naboi" — znowu ku pamięci p. Sławka, przypominamy, nie odniosło skutku. Padło jeszcze kilkaset ludzi, jeszcze kilkuset rannych, ale koniec końcem carat ustąpił przed potęgą woli ludu i ogłoszono Konstytucję.

Stołypin się omylił — coprawda, nie na długo, lecz naprzód była Konstytucja, a później spokój.

Nie prowadzimy żadnych analogji między tem co było. a tem co jest obecnie u nas. Wiemy doskonale, że niema Polaka który wydałby rozkaz w typie „nie żałować naboi". Przypuszczamy, że nawet p. Sławek byłby na to niezdolny — a jeśliby ...

Niespodzianki specjalnej by nam to coprawda nie zrobiło Od roku 1926 w Polsce możliwe jest wszystko.

Może nawet wystawimy pomnik Stołypinowi z napisem: „Mistrzowi i nauczycielowi maluczkich".

Ale lepiej nie wspominać o końcu życia i Stołypina i jego regime'u. Znowuż powiedzą, że jesteśmy złośliwi, jeślibyśmy powiedzieli, że historja czasami się powtarza.

„Sanacja" w Związku Inwalidów

HAJŻE NA INWALIDÓW!

Mija właśnie dwa lata, kiedy to w okresie największego upojenia „sanacji moralnej" wykonano zamach na Związek Inwalidów Wojennych Rzeczypospolitej Polskiej.

Silnej i popularnej tej organizacji sfery decydujące obozu zwycięskiej „rewolucji" nie mogły darować, że zazdrośnie strzeże swej niezależności i samodzielności i mimo wszelkiego rodzaju pokus i gróźb nie schodzi z raz wytkniętej drogi.

Czego nie można było osiągnąć prośbą ni groźbą — osiągnięto terrorem i gwałtem. Za pośrednictwem usłużnej prasy rozpoczęto kampanję przeciwko ówczesnym władzom Związku, której następstwem w niedługim czasie stało się zawieszenie w czynnościach władz związkowych i wprowadzenie zarządu przymusowego, złożonego oczywiście, z „sanatorów" czystej krwi.

Legalność tych zarządzeń była wprawdzie więcej jak krucha, tej samej mniej więcej wartości okazały się zarzuty stawiane poprzednim władzom. Cel jednak został osięgnięty. Rok niemal cały olbrzymim Związkiem zarządzał zarząd przymusowy, którego najpilniejszem zadaniem obok umacniania siebie i „swoich" — stało się należyte „przygotowanie" walnego zjazdu, który miał wybrać normalne władze związkowe.

NIEPOPRAWNI FAŁSZERZE WYBORÓW...

Pierwszą część zadania wykonano dość gruntownie. Mimo to jednak odbyły przed rokiem zjazd zawiódł nieco nadzieje „reorganizatorów" Związku. Nie zdołali oni całkowicie opanować jego władz, wobec czego musieli się uciec do zwyczajnego terroru, aby zapewnić sobie dalsze kierownictwo w Związku. Użyli tedy groźby, że w razie powołania na stanowiska kierownicze osób „nieprawomyślnych" — nie znajdą one należytego poparcia u władz.

Drogą takiego ot podstępu dostali się na stanowiska kierownicze „dla dobra związku" dwaj posłowie B. B.: Jan Karkoszka, prezes Związku i Antoni Snopczyński, prezes Rady Głównej, którzy wraz z dalszymi działaczami: Henrykiem Rudowskim, urz. Min. Pracy, Stanisławem Dziakiem, urz. Min. Reform Roln. i Stan. Szułczyńskim, pracownikiem Dyrekcji Kolei w Poznaniu, stanowią główną „ekipę" sanacyjną w Zw. Inw. Woj. Rzpl Pol.

Okazuje się jednak, że to opanowanie władz Związku wobec wyraźnie opozycyjnego charakteru większości ostatniego zjazdu — nie było tylko dziełem zręcznego, a pachnącego zwykłym... szantażem — manewru. Już po zjeździe — o czem w prasie było zupełnie głucho, krążyć zaczęły wśród ogółu inwalidzkiego pogłoski, że niektórzy wpływowi członkowie władz Związku z listy sanacyjnej dostali się do nich w drodze... sfałszowania wyborów na walnym zjeździe. Pogłoski te przybrały tego rodzaju rozmiary, że zmusiły władze związkowe do zajęcia się tą sprawą.

Wyniki tego badania, trzymane do dzisiaj w najściślejszej tajemnicy — są istotnie rewelacyjne. Na ich podstawie można stwierdzić z całą ścisłością, że wybory do władz Zw. Inw. Woj. zostały w roku zeszłym sfałszowane, a to przez dopisywanie nazwisk kandytatów sanacyjnych, jedną i tą samą ręką na listach oddanych przez głosujących i równocześnie skreślanie w taki sam sposób innych kandydatów.

W szczególności okazało się, że nazwisko czołowego sanatora Henryka Rudowskiego zostało w ten sposób dopisane „zaledwie" 46 razy, nazwisko drugiego: Adama Magudera „tylko" 40 razy, a nazwisko Fr. Pawlaka 8 razy. Równocześnie skreślono kandydatów opozycyjnych np. dr Kikiewicza 50 razy, ks. Pęcherka 18 razy, Kantosa 14 razy, Zarębskiego 10 razy i t. d.

Osobliwa ta „operacja", przypominająca do złudzenia niektóre fakty z wyborów parlamentowych na terenie Małopolski wschodniej, przedstawione w „druku sejmowym nr. 570" — została znakomicie ułatwiona przez sposób urzędowania komisji skrutacyjnej zjazdu. Mianowicie: dla ułatwienia sobie pracy komisja skrutacyjna podzieliła się na trzy podkomisje, z których pierwsza pod przewodnictwem właśnie p. H. Rudowskiego miała za zadanie obliczyć głosy oddane na członków Wydziału Wykonawczego. Po ukończeniu prac tej podkomisji okazało się, że nie jest ona zgodna co do indentyczności oddanych głosów i już wówczas jeden z jej członków inw. Modzelewski zakwestjonował kilkadziesiąt list z nazwiskiem „Maguder i Rudowski"...

Taką oto drogą dostał się do Wydziału Wykonawczego Związku p. Henryk Rudowski, urzędnik Ministerstwa Pracy, b. kierownik przymusowego zarządu — zamiast legalnie wybranego inwalidy Ludyga - Laskowskiego.

„FOLWARK DOCHODOWY" SANATORÓW.

Ale na tem nie zakończyła się „sanacja" Związku Inwalidów. Od sfałszowania wyborów ona dopiero się zaczęła. Opanowawszy Związek, panowie sanatorzy potraktowali go jako osobisty „folwark dochodowy", mówiąc prostym stylem sen. Szafranka. Równocześnie zaś zapomnieli całkowicie o tych, których pieczy los ich powierzono. Zaprzepaszczono cały szereg spraw, żywo obchodzących ogół inwalidów jak np. sprawę rewizji koncesji monopolowych. Koroną tej swoistej troski o interesy rzeszy inwalidzkiej było wniesienie przez posłów Karkoszkę (prezesa Wydziału Wykonawczego) i Snopczyńskiego (prezesa Rady Głównej) wbrew stanowisku Związku, projektu noweli z ramienia klubu B. B., znacznie pogorszającego obecne położenie inwalidów wojennych.

Postąpili zaś w tej sprawie ci panowie w sposób iście sanacyjny. W organie Związku wydrukowali inny tekst projektu, a inny podpisali w Sejmie...

Za to koło własnych interesów ci sami panowie umieli znakomicie chodzić. Z będącego w naszem posiadaniu obfitego materjału wynika np., że pos. Jan Karkoszka pobiera tytułem wynagrodzenia za swą „zmudną" pracę prezesa związku tylko 750 zł. miesięcznie. Do tego dochodzi 100 zł. miesięcznie wypłacanych prezesowi jako „dodatek reprezentacyjny" przez organizację wojewódzką Zw. Inw. Woj. w Katowicach no i... djety poselskie, których p poseł wcale się nie zrzekł. Dodać należy, że jest to dygnitarz inwalidzki wyjątkowo skromnie sytuowany, gdyż poza temi z górą 2 tys. zł. miesięcznie poborów — jest jeszcze właścicielem dochodowej realności w Mikołowie i fabryki torb.

GALERJA „DZIAŁACZY"

Jest to ten sam prezes i poseł Karkoszka, filar „sanacji" w Zw. Inwalidów, który do dzisiaj dnia nie zareagował na zarzut postawiony mu przez katowicką „Polonię", w num. z dn. 14 stycznia r. b., że jeszcze w czasie pierwszego powstania górnośląskiego (1919 r.) jako policjant pruski tropił polskich powstańców...

Następnie idzie dalsza kompanja sanacyjna. A więc wiceprezes związku St. Szułczyński, pracownik kolejowy z Poznania, który za swą pracę w biurze, przeciętnie trzy dni w tygodniu pobiera stałe wynagrodzenie 1000 zł. miesięcznie. Awans ten otrzymał widocznie po poprzedniem doświadczeniu, jakie z nim zrobili inwalidzi w Poznaniu, gdzie za czasów jego urzędowania w spółdzielni inwalidzkiej ujawniono strat na skromną również sumę 74.000 zł.

Sekretarzem Wydziału jest wspomniany wyżej p. Henryk Rudowski, podobno pozatem inspektor ministerjalny urzędów inwalidzkich, zjawiający się w biurze Związku na parę minut i pobierający za to zaledwie 600 zł. miesięcznie.

Jak widać z powyższych danych płace tych panów nie należą do najniższych kategorji.

Zaznaczyć jeszcze należy, że na tem nie wyczerpują się ich legalne dochody z funduszów związkowych. I tak, wrazie wyjazdów pobierają oni również „skromne" djety dzienne w wysokości... 40 złotych.

Nic też dziwnego, że przy takich warunkach udzielają się dość chętnie i w ten sposób djetami nieraz wyrabiają drugą pensję. Klasycznym przykładem tej zapobiegliwości jest przedewszystkiem sam prezes p. poseł Karkoszka, który — jak to zostało stwierdzone — mieszkając stale w Mikołowie pod Katowicami za wyjazd do Katowic na zebranie inwalidzkie likwiduje sobie 40-to złotowe djety!

Powstaje pytanie, jak tego rodzaju gospodarka, chociażby w okresie wszechwładzy sanacji — możliwa jest w organizacji społecznej, której statut przewiduje przecież stałe organy kontrolne w rodzaju komisji rewizyjnej. Otóż ten nienormalny stan rzeczy można wytłumaczyć tylko tym specyficznym układem stosunków, jaki panuje także i w łonie komisji rewizyjnej „usanowanego" Związku. Jeden z jej członków p. Hawrylinke jest kierownikiem hurtowni Wydziału z pensją 800 zł. miesięcznie, a więc jest z tego tytułu podwładnym p. Karkoszki, którego ma kontrolować. Prezes komisji rewizyjnej p. Stępniewski sporządza dla Związku dobrze opłacane bilanse, a później sam je zatwierdza... Jednem słowem wszystko w najzupełniejszej zgodzie z sasadą „ręka rękę i t. d."...

„WÓDZ DUCHOWY"

Duszą tej „ekipy", jej wodzem duchowym, nawet po kompromitującem dla siebie usunięciu z prezesury Rady Głównej Związku — jest poseł B. B. p. Snopczyński. Pan ten publicznie się chwalił, że był incjatorem wprowadzenia zarządu przymusowego. Został też za te usługi należycie wynagrodzony. Jest właścicielem hurtowni tytoniowej w Warszawie, jednej z największych w Polsce. W hurtowni tej miały miejsca dość duże nadużycia. Była ona winna Skarbowi Państwo z górą 90.000 zł., z czego podobno spłaciła dopiero 40.000 zł. W każdym innym wypadku władze dawnoby cofnęły koncesję. P. Snopczyński jest nietykalny, nie tylko jako poseł B. B., ale i jako działacz „sanacyjny" na terenie inwalidów, a ostatnio i Związku Kupców Tytoniowych.

I tacy ludzie kierują poważną organizacją społeczną, którą społeczeństwo darzy zaufaniem i poparciem. W takich rękach jest los dziesiątek tysięcy nieszczęśliwych, słusznie oczekujących pomocy i opieki.

A powołane do nadzoru władze milczą. Siedzą spokojnie nawet wobec faktu, że mimo wyraźnego brzmienia statutu Związku — nie zwołano w tym roku walnego zjazdu w pierwszym kwartale roku.

Dwa lata temu tego rodzaju fakt był wystarczającym powodem formalnym do wprowadzenia zarządu przymusowego. Od chwili jednak opanowania władz Związku przez „sanację" drogą fałszerstw i podstępu — wszystko jest w porządku.

W perspektywie lat..

„Dzieje tego człowieka są tak dziwne, że nieraz dopiero po 30 latach stają się jasne rzeczy dzisiaj niezrozumiałe".

Marsz. Szymański o marsz. Piłsudskim.

Rzecz, którą po krótce chcemy opowiedzieć działa się lat kilkanaście przed wojną światową. Wypadek sam w sobie drobny i niezrozumiały, nabierający swego wymownego skojarzenia dopiero przez późniejszy bieg wydarzeń, miał miejsce w jednem z środowisk emigranckich w Szwajcarji, mianowicie w Zurychu.

Przy sąsiadujących z sobą dwóch stolikach, spotkało się przypadkowo razem grono Polaków. Trzech mężczyzn i jedna kobieta. Do różnych w zasadzie, a i do bliskich zarazem, należący światów. Dwaj mężczyźni reprezentowali świat ducha. Jeden głośny już wówczas malarz, krytyk i esteta. Drugi, już znany literat, mocarz słowa, któremu niedługo wypadło przewodzić na polskim Parnasie.

Trzeci mężczyzna inny przedstawiał świat. Był człowiekiem czynu. Dla ludzi pióra i impresji literackiej reprezentował on owego „wiecznego ducha — rewolucjonistę". Stąd posiadał ich głębokie sympatje. Kobieta była jego żoną i towarzyszką prac ideowych.

Oba towarzystwa siedziały przy bliskich stolikach. Malarz i literat wiedli żywą rozmowę o tem, co się dzieje w kraju. Małżeństwo przeważnie milczało, gdyż mąż nie był usposobiony do rozmowy i z pewną litewską grzecznością odpowiadał żonie. Za to ciągle uporczywie coś kreślił ołówkiem na marmurowym stoliku...

Czas śniadania upłynął i małżeństwo pierwsze opuściło salę. Zaciekawiło pozostałych przyjaciół co też „człowiek czynu" z takiem przejęciem kreślił przez cały czas. Podeszli do jego stolika i szybko cofnęli się z uczuciem niesmaku i przerażenia zarazem. Stolik był zapisany rodzimymi, nieznanymi na szczęście dla cudzoziemców wyrazami, o tak soczystej treści, że z trudem je znaleźć można nawet w słowniku Lindego...

Wojna rozbiła naszą gromadę. Pierwszy, jeszcze w jej początkach odszedł malarz i piękna jego dusza pożegnała Polskę, której wolności się nie doczekał i ukochane wirchy tatrzańskie.

Druga poszła w zaświaty kobieta, wierna małżonka, której życie nie szczędziło największej zgryzoty, że umarła w opuszczeniu i osamotnieniu, chociaż jej ukochanemu mężowi los tak radośnie się w wolnej Polsce uśmiechnął!

Trzeci odszedł wielki literat, a odchodząc przekazał narodowi straż nad największym Polski, przez siebie wymarzonym, cudem: nad polskiem Pomorzem. Z jego to ust pochodzi ta opowieść wiarogodnym i wybitnym przekazana świadkom...

Pozostał ostatni bohater owej „literatury" na stoliku szwajcarskiej kawiarni... I choć w Polsce zrobił najbajeczniejszą ze wszystkich karjerę — skłonności wówczas, przed 20 kilku laty, ujawnione — nie opuściły go już nigdy. Z biegiem lat nowego tylko nabrały natężenia.

Tak to w życiu zdarzają się wypadki, których istotę nawet najbliżsi dopiero po latach rozumieją...

HOCKI — KLOCKI

Wiadomość o utworzeniu gabinetu pułk. Sławka przyjęto w Europejskiej z niekłamanym entuzjazmem.

Podobał się zwłaszcza „bojowy" skład gabinetu. Jedynie pewien znany mecenas, przyjaciel pułk. Miedzińskiego, zgłosił zdecydowane swoje „votum seperatum".

Rażący jest — mówił mi w tej liście— brak Bogusia. On w tej obsadzie takby się przydał...

*

Zdecydowanie niezadowolonym z powołania pułk. Sławka na premjera — jest „maitre d'hotel" kawiarni Europejskiej, której stałym bywalcem dwa razy dziennie był dzisiejszy premjer.

Rozumuje on nie bez pewnej słuszności, że szefowi rządu jakoś „nie wypada" odwiedzać miejsca publiczne.

Pocieszył się jednak dowiedziawszy się, że stolik „pułkownikowski" wraz z przyległościami będzie stanowczo utrzymany, a to wskutek powołania do życia nowego sui generis urzędu „łącznika", między Europejską a pałacem Prezydjum Rady Ministrów.

Czynności „łącznika" obejmuje pułk. Stieglitz Wyżeł - Ścieżyński.

*

Niezmiernie ciężkim był dzień powołania gabinetu pułk. Sławka dla b. premjera mjr. Świtalskiego. Mniejsza z tem, że go nie powołano bodaj na stanowisko ministra, chociażby po p. Czerwińskim.

Gorzej, że nikt w tym dniu ani słówkiem o nim nie wspomniał... I to po tylu odczytach, w których b szef „najpracowitszego" rządu tak się wysilał, byle się przypomnieć, gdzie należy...

Gorzki jest zaiste los upadłych mężów stanu...

*

Po pierwszem, bolesnem wrażeniu p. Świtalski ochłonął i postanowił przejść do kontrofensywy.

Z kół „Europejskiej" dochodzą wieści' że ex-premier zacznie lekką... opozycję. Wyrazem jej będzie m. in. najbliższy odczyt p. Świtalskiego, pełen dyskretnych aluzyj p. t. „Ich rząd".

*

Po ujawnieniu tych „opozycyjnych" nastrojów postanowiono w kołach B. B. zrobić pewien dyg w stronę p. Świtalskiego. Powołano go więc na „kierownika" prac tej sławetnej organizacji, jako specjalistę od wyborów.

Wybór ten, jak nam komunikują przesądza kandydaturę p. Świtalskiego na posła m. st. Warszawy i to oczywiście na czołowem miejscu listy B. B. Po jego popularności w stolicy „partja" spodziewa się tym razem wyjątkowego sukcesu.

*

Na razie ćwiczy się p. Świtalski w sztuce... detektywistycznej. Mianowicie na podstawie przypadkowo w Alejach spotkanej grupki polityków — odtwarza różne kombinacje „spiskowe", które knują przeciwko regimowi koła opozycyjne.

Aby zaś dać wyraz swemu opozycyjnemu nastrojowi — powiadamia nasz domorosły Pinkerton o swych „odkryciach" nie p. Koca z „Gazety Polskiej", tylko p. Ehrenberga z „Porannego".

Stąd w prasie fryzyjskiej radość, że „Kazio" ma tak „dobre" wiadomości...

*

Pierwszym „aktem" nowego rządu stało się opublikowanie dekretu, zamykającego sesję sejmową.

Nazajutrz już kursowała po Warszawie następująca zagadka.

Jaka jest różnica między niedźwiedziem a Sejmem?

? ? ?

Niedźwiedź zasypia na zimę, a Sejm na wiosnę...

„Gazeta Polska" drukuje od czasu jako „dokumenty hańby" materjały polityczne z pierwszych lat wojny, przypominające, że nie wszyscy Polacy byli zwolennikami legjonów.

W związku z tem dobrze by było by pp. redaktorzy organu pułkownikowskiego sprawdzili u p. Stanisława Thugutta informacje o pewnem poufnem zebraniu w Wilnie pod koniec 1914 r.

P. Thugutt, entuzjasta czynu legjonowego, z wielką siłą przekonywał opornych wilnian o słuszności tej koncepcji. Odniósł też wyjątkowy sukces. Na 60 kilku przedstawicieli inteligencji — przekonał wszystkich — prócz jednego...

Tym jednym był niejaki p. Jan Piłsudski, najmłodszy brat „komendanta" legjonów...

*

Nowy rząd, ulegając powszechnym głosom niezadowolenia z dzisiejszego stanu bezpieczeństwa politycznego — postanowił zwrócić energiczną uwagę na ten stan rzeczy.

Doświadczyła tego na sobie m. in. drukarnia „Placówki", której już w nocy ze srody na czwartek o godz. 1-ej—złożył wizytę inspektor drukarń p. Biernacki wraz z dwoma wywiadowcami, interesując się bardzo... rodzajem rękopisów, które składali pracownicy...

Tematy do prac seminaryjnych w Szkole Nauk Politycznych

1. Jeżeli p. marszałek Szymański dopiero za lat trzydzieści, jak twierdzi, potrafi zrozumieć, że zażartowano sobie zeń w sposób niemiły przez powierzenie mu misji tworzenia gabinetu, — to za ile lat p. Szymański pocznie się wogóle orjentować w zagadnieniach politycznych?

2. Przewidzieć, jakiemi argumentami prawnemi p. minister Car uzasadni swą przypuszczalną koncepcję, że... pomimo wszystko „dekret prasowy" żyje i obowiązuje.

3. Czy i który z pp. ministrów spędzi swój urlop tegoroczny w kraju?

4. Jaki użytek uczyni p. Szymański z uchwalonego przez siebie w okresie tworzenia gabinetu słynnego albumu z fotografjami?

5. Wyjaśnić, dlaczego pp. posłowie Dobrzański i Idzikowski, zwolennicy ostrego kursu, którzy „bić umieją i bić będą", zostali pominięci przy ostatniem rozdawnictwie tek ministerjalnych?

6. Którzy z posłów B. B. w dniu 29 marca nie kryli pałek gumowych za pazuchą?

7. Wyjaśnić — w związku z oparciem się B. B. S. na bojówce, ciągnącej soki z flaków bydlęcych i ze związku „flaczarzy" pochodzenie najnowszej nazwy tej partji: „Bezpartyjna Banda Socjalistyczna, — dawniej Frakcja Rewolucyjna, obecnie Flakcja Rewelacyjna".

8. W jaki sposób zostanie ratyfikowany traktat handlowy z Niemcami?

Cena prenumeraty: rocznie zł. 15, kwart. zł. 4, mies. zł 1.50 **Zagranicą:** rocznie 3 dol. am. półrocz. 1.50 dol. am. kwartalnie 90 cnt względnie równowartość w innej walucie) **Ceny ogłoszeń:** 1/1 str. 300 zł., 1/2 160 zł., 1/4 90 zł., 1/8 50 zł.; w tekście o 35% drożej

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul Sienna 33, tel. 106-25 **Konto P.K.O. 19.070.**

Wydawca: Wacław Dziekoński. Druk. „Ars", Warszawa, Sienna 33 Red. odpowiedzialny: **Józef Dziekoński.**